

HISTORIA KRÓTKA

Zachłystywaliśmy się wtedy wolnością, radością, młodością. Korytarze dawnej „wikarówki” przy ulicy Stolarskiej, siedziba poznańskiej polonistyki, huczały śmiechem. Pomysły goniły pomysły. Ciasny pokoik Koła Polonistów pęczniał w szwach. Nosiło się obowiązkowo białe czapki, śpiewało się *Białe czapki*:

Białe czapki wszędzie wiodą prym
białe czapki to jesteśmy my
huczy nami Poznań, tętni nami Poznań
i uśmiecha się przez łzy...

Wśród polonistów ścierały się dwie frakcje: Franek Fenikowski plus Leszek Goliński, tandem autorski tomiku *Odra szumi po polsku*, tandem żywiołowy, huczny i buńczuczny, oraz I rok z czołowym bardem, poważnym, refleksyjnym, wewnętrznie skupionym, Zbyszkiem Raszewskim.

W epoce pisania epitafiów (było to po ekskomunie prof. Romana Pollaka: „w moich oczach jesteście pogrzebani!”), przeważnie na zajęciach gramatyki historycznej prof. Otrębskiego, gdy już obecność I roku wyraźnie zdominowała starszą, Franek Fenikowski odciął się kąśliwie:

Postawiono trochę z boku
pomnik dla pierwszego roku.

Tymczasem ów pierwszy rok dość szybko z pozycji „trochę z boku” przemieścił się w samo centrum poznańskiej polonistyki. Błysnął swadą i dowcipem Jarosz Maciejewski, na wieczorku poetyckim wystąpił z wileńską zaciągający Edward Rabowicz, Basia Gawarecka czytała swoje liryczne miniatury, Ali Sajkowski odzywał się z rzadka, ale w sedno, a nade wszystko zaintrygował, zachwycił szczupły (żeby nie powiedzieć chudy), diablo inteligentny, zawsze pierwszy w dyskusjach na seminariach prof. Szweykowskiego – Zbyszek Raszewski.

To Zbyszek natychmiast i bezbłędnie podał, co to jest „artyficyjizm” (był bowiem obyczaj, że nowo przyjmowani do Koła Polonistów rozwiązywali rodzaj testu, taki sobie sondaż, penetracja intelektu). I podczas gdy zastępy polonistek pisały: artyficyjizm to wysoka forma artystyczna, kunszt literacki, Zbyszek sformułował krótko: sztuczność, udawanie. Padło słowo „zastępy”.

Polonistyka słynęła z damskiej obsady, Zbyszek szydził w wierszyku: „wszak jedyny mąż wśród naukowych sal, to Kadłubek, Sęp-Szarzyński lub Anonim Gall”.

Chłonęliśmy wtedy teatr. W Polskim Ludwik Solski gościnnie reżyserował *Grube ryby*, w których jako Ciaputkiewicz rozśmieszał wyrafinowanym panem Rostworowskiego. Na długo zapamiętałam lodowaty pocałunek wiekowego Mistrza, gdy po spektaklu *Grubych ryb*, my studenci zgotowaliśmy mu wielką owację, wtargnęliśmy na scenę, obsypując kwiatami, a Mistrz, dziękując, podtrzymywany przez aktorów całował dziewczyny, wciskając im z powrotem te kwiaty.

Na ostatnim piętrze, zawieszeni na krawędzi jaskółki w Teatrze Wielkim, przeżywaliśmy tragedię Traviaty i wzdychaliśmy, gdy Madame Butterfly śpiewała: „tam na obcej stronie”. Ale nade wszystko zachwycił nas dramat. Teatr Polski oblegany co wieczór przez studentów (obce nam były organizowane widownie), którzy w długich kolejkach stali przed kasą teatralną, aby tylko móc wieczorem znaleźć się w jedynej, niepowtarzalnej atmosferze teatru i słuchać ze sceny: „O, jakże cię głęboko kocham, Lizelotto” (to do Janiny Marisówny – wiotkiego, lirycznego bożyszcza Poznania!). W Polskim siedł repertuar polski: *Damy i huzary*, *Moralność pani Dulskiej*, *Pan Jowialski*, *Wesele*. Repertuar ten był tematem seminarium krytyki teatralnej prof. Szweykowskiego. W marcu 1947 roku Karol Borowski wystawił *Dwa teatry*.

Do dziś zachował mi się notatnik z seminarium prof. Szweykowskiego i stenogram dyskusji o *Dwóch teatrach*. Przytaczam wypowiedzi Zbyszka Raszewskiego: „*Dwa teatry* należy rozpatrywać jako dzieło literackie i jako utwór teatralny. Rozgraniczenie to jest specjalnie ciekawe. Między jednym punktem widzenia, a drugim istnieją ogromne rozbieżności. Utwory Szaniawskiego jako dzieła literackie nie są wybitne, natomiast są niesłychanie ciekawe jako utwory sceniczne. Tekst utworów Szaniawskiego to tylko partytura teatralna. Podobnie jak u Wyspiańskiego, bowiem u niego często teksty są tylko partyturą. Znamienne jest operowanie płaszczyznami nastrojowymi.[...] Mamy tu zakres dwu jakichś rzeczywistości, które tkwią w naszym życiu, przy czym autor postuluje do przekroczenia z rzeczywistości realistycznej do idealistycznej.

Ten postulat rozbija się o to, że Szaniawski nigdy nie pokusił się o dokładne sprecyzowanie, o jakich rzeczywistościach mówi. Czy chodzi tam o nastroje, czy zjawiska typu psychicznego, czy metafizycznego – nie sprecyzowane.

Pytanie: o co Szaniawskiemu chodzi? Gdzie jest prawda? Wzniosły snobizm idealistyczny – oto postawa Szaniawskiego.”

Seminarium było burzliwe, temat przeciągnął się na następne zajęcia, potem (żeby zakończyć o epitafiach) Fenikowski napisał:

Po dyskusji wpadł w gniew szewski
i umarł nam Z. Raszewski



Pochód Caritas Academica w Międzyzdrojach, 17 VIII 1947. W rydwanie jako Apollo – Zbigniew Raszewski, przed rydwanem Muzy – Maria Kowalewska, Mirosława Tomaszewska, Agata Miecznikowska. Z lewej Hanna Klajn (Hannowa)

A Raszewski tymczasem z seminarium (lub z Biblioteki Uniwersyteckiej) biegł na Libelta do dominikanów. Tam działał Caritas Academica, twór skupiający wielką rzeszę akademickiej braci, wspomagający, a nade wszystko zapewniający wspaniałe, wprost bajkowe wakacje letnie i zimowiska. Zbyszek w swych wierszach i piosenkach był propagatorem tego ruchu. Konwent dominikanów na Libelta był naszym drugim domem. Z ojcem Przybylskim, który prowadził duszpasterstwo akademickie, o. Pawłem, o. Bronisławem, którzy systematycznie towarzyszyli nam na wakacjach, a potem także tymi, którzy wyszli z naszego grona: Markiem Sybilskim, Andrzejem Kasznicą. Tu, na Libelta, dyskutowaliśmy, tu się skupialiśmy wewnętrznie, tu medytowaliśmy o sensie życia i o sprawach nadprzyrodzonych, tu także bawiliśmy się i śpiewaliśmy. Oczywiście piosenki Zbyszka.

Spójrz, spójrz, na morze wypłynął księżyc na połów gwiazd
spójrz, spójrz, jak mocne wino marzenia szumią w nas...
Patrz księżyc jak srebrna bajka zgarnia z fal biały puch,
niech ci się przyśni Hawajka i Piotruś Leśny Duch.

Hawajka i Piotruś Leśny Duch to nie były postacie literackie, lecz autentyczni koledzy z naszego kolonijnego turnusu. Hawajka, vel mała Czetwertyńska, vel Terpsychora – muza tańca w orszaku Apolla – otwierała

pochód grupy mitologicznej podczas „bumlu” studentów na koloniach Caritas Academica w Międzyzdrojach. 9 Muz w greckich szatach ze stosownymi emblematami (niżej podpisana – Euterpe – muza poezji, niosła pegaza wyrzeźbionego z dykty przez Przemka Kościółkowskiego), a więc 9 Muz ciągnęło rozklekotany wózek, który na co dzień służył do przywożenia mleka na kolonię, tym razem zaś był rydwanem Apolla (Zbyszka Raszewskiego). On sam spowity w dwa udrapowane prześcieradła z powagą trzymał zwój papirusu od czasu do czasu pokrzykując na podległy mu orszak. Dostojeństwa Apollinowi dodawała płowa peruka utkana z włosia i morskiej trawy, wytarganych ze starej kanapy.

Zachowały mi się fotografie tego historycznego orszaku i nieznaney roli prof. Zbigniewa Raszewskiego, w jakiej wystąpił w lipcu 1947 r. Zdjęcie zrobił nam (i potem mi podarował) reżyser Bronisław Dąbrowski (wystawił wcześniej w Poznaniu świetny *Wieczór Trzech Króli*, po premierze zaprosił nas na rozmowę), późniejszy dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie, który wtedy w 1947 roku spędzał w Międzyzdrojach urlop i ochoczo włączył się do naszej zabawy, a nawet zasiadł na trybunie jako juror studenckiego „bumlu”. On to przyznał mitologicznej grupie „Apollo i muzy” I nagrodę, którą wręczył Zbyszkowi. Był to odręcznie, naprędce wykaligrafowany dyplom z pegazem w winiecie. Wieczorem gościliśmy naszego znakomitego jurora na ognisku. Program artystyczny komponował jak zwykle Zbyszek. Zbyszek, jakże inny niż zatopiony w lekturze w uniwersyteckiej bibliotece, niż w salkach seminarium polonistycznego na Stolarskiej, a potem na Matejki, poważny, skupiony, serio. W Międzyzdrojach Zbyszek był pełen żartobliwych pomysłów, skory do figlów i zabaw. To on w chmurne poranki zrywał ze snu kol. Kwileckiego (2 m wzrostu), kazał mu wspinać się na dach i rozgarniać chmury. To on, gdy przy ognisku śpiewaliśmy jego piosenkę o piastowskich tradycjach Ziemi Odzyskanych¹, przy refrenie: „dziedzice dawnych lat” wstawał i nachylając się ponad ogniem wskazywał długim patykiem siedzącą naprzeciw Marysię Kowalewską (później redaktora naczelnego Wydawnictwa Morskiego), najstarszą w naszej grupie i śpiewał brawurowo: „d z i e w i c e dawnych lat”. To Zbyszek wymalował hasło, które wśród innych pouczeń, nakazów i zakazów dominikańskiego regulaminu widniało u wejścia do domu Caritas Academica: „Niecierpliwym ślubów udziela się natychmiast!”

¹ Gdzie Krzywousty wodził
w topory zbrojny huf
gdzie Piastowicze młodzi
chodzili w las na łów,
tam gdzie na Niemce wraże
szedł Chrobry ze swych czat,
tam zaciągamy strażę
dziś, dziedzice dawnych lat. } bis

Na ogniskach i śpiewanych wieczorach Zbyszek był głównym artystą: autorem tekstów piosenek, konferansjerek, skeczów. I choć nasza tzw. „grupa artystyczna” była liczebnie spora, a Zbyszek nigdy nie eliminował żadnego „twórcy”, to jednak życie samo dość szybko robiło selekcję. Pozostawało to, co on napisał, żyły jego teksty, śpiewało się je, opowiadało jego kalambury. Wykonawczynią piosenek Zbyszka była przede wszystkim Ela Zakrzewska, wówczas studentka stomatologii (a także konserwatorium), później solistka Operetki Warszawskiej.

Bronisław Dąbrowski w wiele lat potem, na jubileuszu Artura Młodnickiego w Teatrze Polskim we Wrocławiu, wspominał z rozrzewnieniem owe wieczory w Międzyzdrojach spędzone w gronie poznańskich studentów z dominikańskiego duszpasterstwa. Pamiętał i cytował (o dziwo!) refren: „spójrz, spójrz, na morze wypłynął księżyc na połów gwiazd...” Prześmiewca stary, wypominał mi lekcję tańca (karioka i swing), jaką prowadziłam podczas wieczoru ze Zbyskiem-wodzirejem, przeplatana fragmentami „pamiętnika studentki”, co było moim numerem popisowym. Po powrocie z wakacji zrodził się pomysł wystawienia sztuki. Pomysł nie nowy. Od 1946 roku przymierzaliśmy się, jako Koło Polonistów, którego byłam sekretarzem (i znów pokpiwania „pierwszy sekretarz Koła Polonistów obwieszcza...”), parę razy do tego projektu. Odbylam nawet wjazd do Łodzi z listem polecającym prof. Szweykowskiego do Aleksandra Zelwerowicza w sprawie wypożyczenia kostiumów. Mistrz ożywił się nawet przez moment, ale dość szybko skierował mnie do Dobiesława Damięckiego. Damięcki przyjął mnie w zagraconym, ponurym mieszkaniu na Piotrkowskiej, otulony jakimś tureckim szalem, przeziębiony. Był mimo choroby, uroczy, uprzejmy, życzliwy, żywo zainteresował się studenckim teatrem w Poznaniu, ale kostiumów nie przyobiecał, nawet nie dał cienia nadziei.

Pozostało więc samym wziąć się do dzieła. Także garderobiano-krawieckiego. *Odprawę posłów greckich* – bo na nią padł wybór repertuarowy – robiliśmy właściwie sami, konsultował, doradzał, reżyserował, poświęcał mnóstwo czasu na próbach nasz ukochany profesor, Zygmunt Szweykowski. Sytuację ustawiał Stanisław Szczepański z Teatru Młodego Widza, a także Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Kultury w Poznaniu, zaś technikę mowy scenicznej korygował Karol Borowski, dojeżdżający do Poznania z Łodzi, który był reżyserem w Teatrze Polskim w tym czasie, a także prowadził zajęcia w Studio Dramatycznym Nuni Młodziejowskiej-Szczurkiewiczowej (którego byłam również, obok studiów polonistycznych, słuchaczką razem z Ireną Remiszewską i Elżbietą Marzinkówną).

Zwracaliśmy się też o doradztwo do naszego wykładowcy (nauki pomocnicze) Wacława Kubackiego, żywo interesującego się teatrem i sekretarza generalnego Wojewódzkiej Rady Kultury w Poznaniu, ale docent pochłonięty był własną twórczością. Tworzył mianowicie *Krzyk jarzębiny* wystawiony w późniejszych latach (już za dyrekcji Wilama Horzycy) w Teatrze Polskim. Nie znalazł więc czasu, aby przyjść do nas choćby na pół próby.

Do dziś mam zdjęcie popremierowe, a także egzemplarz owej *Odprawy z nagryzmołoną obsadą*: Aleksander, którego i Parysem zowią – Zbyszek Raszewski, Helena – Zosia Dajkowska, Antenor – Zygmunt Ziębiński, Chorus z panien trojańskich – to cały peleton Muz, no nie cały, bo kilka już się wykruszyło, w myśl maksymy Zbyszka: „niecierpliwym ślubów udziela się natychmiast”. Premiera odbyła się w Teatrze Młodego Widza na Świętym Marcynie, zaś drugie przedstawienie w auli uniwersyteckiej, przy dużej frekwencji kolegów wszystkich wydziałów, bo aktorami byli i poloniści, i chemicy, i medycy, i prawnicy. Kończył się maj. Zbliżała się sesja, ostre dla „aktorów” terminy, bo przecież tylko niektórzy z nas byli uprzywilejowani w myśl powszechnie śpiewanego tekstu piosenki:

prawo to fakultet od Boga wybrany
zaczyna się uczyć, gdy kwitną kasztany...

Postanowiliśmy więc wznowić *Odprawę* po wakacjach i zagrać ją kilka razy, może nie tylko w Poznaniu? Może pojechać do Rogoźna, Szamotuł, do innych miast Wielkopolski, może do Wrześni, Rawicza?

Po wakacjach jednak nie było już o tym mowy. Zaczęły się inne biedy. Biedy bowiem w tych latach było co niemiara. Były protesty studenckie, strajki i pochody. Były groźne próby dławienia nas i było tak, że nie mogliśmy się już nawzajem doliczyć po powrocie do domów. I to na wiele lat. Było więc biedy w tych latach co niemiara. Ale i szczęścia co niemiara. Na przekór, na złość, na opak. I nasze uparte: żeby złapać ze świata, co się da, żeby choć liznąć wielki smak życia, żeby ognie, które podeszły w naszą młodość tak wcześnie – nie zniszczyły nas.

Wiele razy potem spotykałam Zbyszka na premierach Krystyny Skuszanki (w której teatrze pracowałam). Zbyszek zawsze pełen gotowości, służący swoją radą repertuarową, mądrością, piórem i tą specyficzną wyważoną oceną oraz głębokim znawstwem teatru, które posiadał jak nikt poza nim.

I znów po latach spotkałam Zbyszka w Poznaniu. Na pogrzebie naszego ukochanego profesora, Zygmunta Szweykowskiego. Zbyszek był jego najwybitniejszym uczniem. Był ogromnie wzruszony i w niezbyt dobrej kondycji. Mówił nad trumną o Profesorze i do Profesora. Myślałam: przecież on cały z niego. Całe życie Zbyszka to przecież też ogrom pracy i wiele wyrzeczeń, wiele myśli i wizji, wspaniałych młodzieńczych pasji i zapału, wielkiego talentu, odpowiedzialności naukowej i społecznej, a przede wszystkim, dla mnie przede wszystkim, wiele prawdziwego umiłowania teatru.

Rozmawialiśmy krótko. Wyrzucał mi dobrotliwie, że drukując w „Pamiętniku Teatralnym”, u niego przecież, ani się w Warszawie nie pokazałam, ani nie przyznałam, że ja, to jestem ja (podczas studiów miałam inne nazwisko).

Gdy w maju 1981 roku, mój kolejny dyrektor przymierzał się do *Wesela*, prosiłam Zbyszka o konsultację, może o przyjazd do Wrocławia i wykład dla aktorów, otrzymałam odpowiedź: „Droga Haniu, bardzo Ci dziękuję za zaproszenie, z którego skorzystać nie mogę. Moje stosunki z Wyspiańskim

WSPOMNIENIA

były raczej niefortunne. Dwa razy, o ile pamiętam, napisałem coś o tym autorze, wiedziony doraźnymi potrzebami. Za oba artykuły najśluszniej mnie zwymyślano, co mi ochotę do wszelkich dalszych wypowiedzi odebrało. Zresztą nie mogę się teraz ruszyć z domu. Mam taką sytuację, że nawet krótkie wychodne, rzędu godziny lub dwu, jest nie lada problemem. Przesyłam Ci serdeczne pozdrowienia. Zbyszek Raszewski, 25 V 1981."

Podarował mi swoją *Krótką historię teatru polskiego* z bardzo krótką dedykacją: „Hani – [...] Muzie Międzyzdrojów – Zbyszek”. Słowo Muza poprzedza zaimbek dzierżawczy. Dla historyka teatru mało ważny, zaś dla mnie ogromnie. Więc pozostawiam go dla siebie.